



Jesienna wystawa

Poznańskiego Okręgu
Zw. Polskich Artystów
Plastyków
Listopad
grudzień 1956

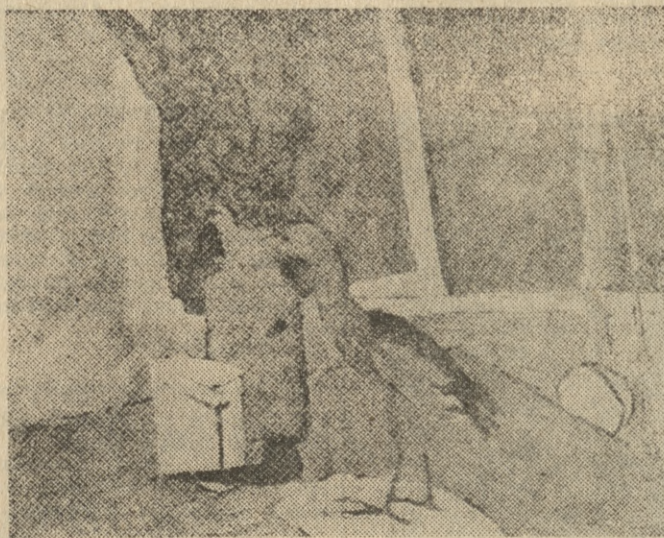
Franciszek Prabuć —
W pracowni malarza — olej



Eugeniusz Rosik —
Zmagania o rekord —
korkoryt



Jadwiga Eichlerowa — Fragment Kazimierza — olej



Alfons Chojnacki — Martwa natura z bącznikiem — olej

Julian Mikołajczak

Bezmyślności mówimy: stop!

„SOCJALIZM POZBAWIONY NAU-
KI STAJE SIĘ BEZBRONNY”
(Z przemówienia sejmowego
prof. St. Kulczyńskiego)

Jeżeli zwyrodnienia systemu centra-
listycznego wyrządziły tyle szkód
w życiu gospodarczym, to o ileż
większą wagę mają one w odniesieniu do
dziedziny myśli naukowej. W obecnym
okresie ogólnego rozrachunku trzeba
uprzytomnić sobie zło, które dławilo polską
naukę. Należy też wiedzieć, w jaki spo-
sób przystępujemy do naprawienia szkód.
Jedno i drugie jest konieczne.

Sprawdźmy przede wszystkim nasze
rozważania na gruncie poznawczym.

Wiadomo, że nasze środowisko naukowe
należy do najsłabszych w kraju. Wiadomo
też, że w pierwszych trzech latach
po wojnie obserwowaliśmy zjawisko wy-
sokiej aktywizacji naukowców, związa-
nych z poznańskimi wyższymi uczelniami.
Po roku 1949 z firmamentu poznańskiej
nauki zaczęły znikać po kolei różne
gwiazdy i planety, świecące większym
lub mniejszym światłem. Wielu cieszących
się kwitującym zdrowiem profesorów uni-
wersytetu odchodziło na „emeryturę”. Do
wiadomości społeczeństwa dochodziły róż-
ne wersje na temat motywów „odejścia”,
wśród których wersja „nieprawomyśl-
ności”, burżuazyjnego odchylenia czy po-
litycznej niepewności była chyba dominu-
jąca.

Albo czy tylko dlatego „odchodzili” pro-
fesorowie? Trzeba w imię prawdy
i dla wyprostowania mylnych opinii po-

wiedzieć, że poza przyczynami politycz-
nymi działały również momenty innej
natury. Weźmy dla przykładu Wyższą
Szkołę Ekonomiczną.

Zmiana profilu uczelni dokonana (zresz-
tą zupełnie niepotrzebnie) przed paru la-
ty spowodowała, że niektóre specjalności
nie zmieściły się w jej nowych ramach.
Taki los spotkał np. katedrę handlu za-
granicznego, dlatego odszedł jej kiero-
wnik dr Waszak. Odszedł również prof.
Kasprowicz, przenosząc się do Sopotu, z
chwilą gdy w Poznaniu zlikwidowała się
katedra transportu. Profesorowie Zdzito-
wiecki i Rosiński z podobnych przyczyn
przestali wykładać na WSE, lecz nie
przerwali pracy na Uniwersytecie Poznań-
skim, trudno więc mówić tu o jakimś od-
sunieniu ich od pracy naukowej.

Natomiast krzywdą moralną i material-
ną było „utrącenie” jednego z najwybit-
niejszych ekonomistów — teoretyków,
uczonego europejskiej sławy, prof. Tay-
lora. Za poglądy odmienne od oficjalnych,
za śmiałość i nieugiętość w własnych prze-
konaniach — Ministerstwo Szkół Wyż-
szych posłało go w 1949 roku „na emery-
turę”. Wieloletnia nieobecność tego dosko-
nalego znawcy teorii ekonomicznej, zasłu-
żonego wychowawcy wielu dziesiątków
ekonomistów — była wielką stratą dla
polskiej nauki.

Liczne głosy rozsądku dopominają się
o naprawienie krzywdy, wyrządzonej
uczonemu. Jak się dowiadujemy, na Ra-
dzie Wydziału Prawa UAM wniesiona ma
być sprawa powrotu prof. Taylora do
czynnej pracy naukowej zarówno na Uni-
wersytecie (katedra rozwoju teoretycznej

myśli ekonomicznej) jak i na WSE (histo-
ria doktryn ekonomicznych). Byłoby to
też z dużym pożytkiem dla polskiej nauki,
gdyby — zgodnie z opinią poznańskiego
środowiska — prof. Taylor mógł wejść w
skład PAN.

Wielu naukowców opuściło uczelnie
jeszcze z innych przyczyn. Nie podołali
zwiększającym się wymogom i nowym
warunkom pracy. Jeśli nie jest możliwe,
by wrócili jako wykładowcy, trzeba im
dać możliwość działalności naukowej w in-
stytutach naukowych czy w konkretnych
dziedzinach praktycznych. Mowa tu o
prof. Rzośce, wybitnym ekonomście i
znawcy organizacji przedsiębiorstw, i dr
Skowrońskim, dobrym praktyku, lecz nie-
specjalnym wykładowcy (młodzież sama
dawała temu wyraz), którego duży zmysł
praktyczny winien znaleźć odpowiednie
ujście niekoniecznie w ramach uniwer-
syteckich.

Uporządkowanie kadrowych spraw w
środowisku naukowym nie rozwią-
że jeszcze zagadnienia. Trzeba zmienić
atmosferę pracy naukowca oraz strukturę
jego warsztatu zawodowego.

Ciągle zmiany w profilu szkolnictwa
wprowadzały niepewność co do trwałości
odnośnych kierunków specjalistycznych.
Zniechęcało to naukowców, którzy nie wi-
dzieli dla siebie szerszych perspektyw
rozwoju. Zniechęceniu temu uległy rów-
nież kadry asystentów, zaniepokojonych
swym losem jako przyszłych naukowców.

Bezmyślność i szkodliwy był system na-
rzucania uczelniom przez Warszawę pe-
wnych specjalności, które w naszych kon-

NASZ felieton

Plan edytorski Wydawnictwa Poznańskiego, którego
szczegóły zdradziliśmy niedawno, jest ilościowo
(nie z winy Wydawnictwa — taki to już los pro-
wincji) — ubożuchny, ale jakościowo — ciekawy.

Co to znaczy?

Ciekawy z wielu względów. Po pierwsze z uwagi na
pozycję od wielu lat na półkach księgarskich nie widzia-
nych klasyków: Hamsuna, Björnsena, Gjellerup; bądź
pisarzy (jeszcze) emigracyjnych jak Choromańskiego,
Grabowskiego i Marczyńskiego. W planie widnieją rów-
nież atrakcyjne tytuły Zagadłowicza i Meissnera.

UWAGI w sprawach wydawniczych

Po drugie ciekawy, gdyż niektóre zaplanowane utwory
dopiero powstają, rodzą się na zamówienie edytora, po-
trząsającego z niecierpliwością wtórnie umowy wy-
dawniczej. Taki to już w naszych wydawnictwach zako-
rzenił się zwyczaj, że często kupuje się kot (t) a w wor-
ku. Jaki on będzie? Bury, czarny, angora? Zobaczymy.
Krytycy ostrzą sobie zęby.

Ciekawy — rozumiem również z punktu widzenia
konsumenta. Oto ważny przyczynek do tego zagadnienia:
Przed kilku miesiącami „Czytelnik” ogłosił ankietę wśród
odbiorców wiejskich. Pytanie brzmiało: „Jakie książki
czytacie najczęściej?” Odpowiedziano przynajmniej w wię-
kszości głosów: „Kraszewski, Orzeszkowa, Zeromski,
Prus, Dąbrowska.” Wyniki tej ankiety zmusiły kierowni-
ctwo działu „Książka Nowego Czytelnika” do zmodyfiko-
wania planu, dostosowania go do „woli ludu”.

Czy przeciętny odbiorca po zaznajomieniu się z pla-
nem Wydawnictwa Poznańskiego pójdzie śladem autora
tego felietonu i nazwie plan ten ciekawym? Czy i jak
książki nowego wydawnictwa którego powstanie ożywiło
już nasze życie kulturalne, zostaną przyjęte przez czytel-
ników? Rzecz o tyle — pomijając kwestie wznioślejsze —
ważna, że wydawnictwo zobowiązane do finansowej sa-
mowystarczalności musi rzucić na rynek księgarski lite-
raturę, która pójdzie. Stąd duża odpowiedzialność pla-
nistów za dobór poszczególnych pozycji, z czym wiąże
się niewątpliwie podniesienie wymagań w stosunku do
autora. Minął okres budowania kultury w Polsce na fun-
damentach z cegieł książkowych, które kładli pewni au-
torzy przy usilnej pomocy urzędników lub na telefoniczne
polecenia „szyszek”. To samo moje zastrzeżenie odnosi
się do kultu nazwisk (tzw. nazwiskomania) — vide
casus ze słabutką „Wycieczką do Sandomierza”, Iwaszkie-
wicza. Czy na z w i s k o ma podnieść rangę literacką nie-
udanego utworu? Czy należy drukować również bzdurę,
która może się wypsnąć nawet znakomitemu pisarzowi?

Jakie książki są czytane? Romanse? Powieści fanta-
styczne, opowiadania wiejskie, a może rzeczy o złym szpie-
gu, dobrych ubowcach i wahającym się inteligencje? Od-
powiedź jest chyba prosta: nasz czytelnik żąda książek
dobrych. Obojętnie, kto je napisze, czy debiutant
z Szamotuł, czy też laureat nagrody państwowej.

Mam wrażenie, że Wydawnictwo Poznańskie, które
przedstawiło ciekawy plan w zakresie literatury obcej
z równą uwagą odnieśli się do pozycji z polskiej literatu-
ry współczesnej. Niektórzy autorzy pociesząją się: „Nie
ry wydali w Warszawie, ale w Poznaniu to m u s z a.” Przed
takim widmem czy groźbą drugo- czy trzeciorzędności
trzeba się bronić.

Niewątpliwie wśród młodzieży, chwytającej za pióro,
znajduje się wiele talentów. Ambicją wydawnictwa po-
winno być przeto śmiało sięgnąć po młodych, obiec-
ujących autorów (np. w drodze wydania almanachu młodych
lub rozpisania konkursu). Te poszukiwania mogą dać na-
prawdę dobre rezultaty.

Pojęcie c i e k a w a książka łączy się ze świeżością stylu
i formy, odkrywczością tematu, z n o w y m, które prezen-
tuje w swym utworze autor.

Na taką książkę czeka czytelnik i (bez złośliwości) kry-
tycy. Taka książka wystawi świadectwo naszemu wy-
dawnictwu, którego piękny rozwój leży nam wszystkim
na sercu.

Praczką

Z zakasaniem rękawem po tokcie
w balii o zębach wiłnokregu
pierze namydlać słońcem
brudną starą bieliznę
wyjętą z zakamarków pamięci.

Potem rozwiesi ją na promieniu
dłuższym od anten i przewodów —
już widzi praczkę swoje pranie
nasycone zapachem rumianku,
poukładane w nieobjętej szafie.

Pochwalam czystość czynów i intencji,
które ubieramy na codzień i w których
śnimy o jutrze. Oto wiatr pracace
przyniósł kosze szelestu
i wysypał przez okno radosny.

Wszystko od naszego krzątania zależy.

Nieznana bajka Sienkiewicza o Wielkopolsce

Znane są powszechnie nowe-
le Sienkiewicza poruszające
sprawy Wielkopolski; „Bartek
Zwycięzca” i „Z pamiętnika
poznajskiego nauczyciela”.
Przypadek pozwolił mi zapo-
znać się z rękopisem bajki, któ-
rej tematyka żywo odzwier-
ciedla stosunki w ówczesnym
Księstwie Poznańskim.

Bajkę tę napisał Henryk
Sienkiewicz w dniu 27 mar-
ca 1902 roku, na życzenie le-
karza, u którego leczył się, dla
syna lekarza. Korzystając z
uprzejmości pani Ewy Rope-
lewskiej z Konina, w której ręk-
u znajduje się oryginalny
tekst bajki, oraz list, przy
którym Sienkiewicz przysłał
bajkę, mogę podać ten, praw-
dopodobnie nie publikowany
do tej pory tekst.

Bajka

Leci sobie drapieżny sęp,
leci, leci, wreszcie siada wśród
skał przy sokolem gnieździe i
poczyna krakać na sokola;

— W imieniu moich praw,
słuchaj mnie!

— Czego chcesz? — pyta so-
kół.

— Chcę cię zabić i pożreć —
powiada sęp.

— A cóż ci po mojej zgu-
bie?

— Co za głupie pytanie — i
co za brak wykształcenia!
Ciasno mi jest w rodzinnym
gnieździe, więc chcę zabrać
twoje, abym miał gdzie umie-
ścić moich młodszych synów;
po wtóre mam swoją sępią po-
litykę, której twoje istnienie
zawadza, a po trzecie; kra-
czesz innym głosem niż ja i
nie kochasz mnie.

— Co do mego głosu, od-
zywam się takim, jaki mi Bóg
dał, a co do mych uczuć, za
cóż ja mam cię kochać?

— Mniejsza o to — wiem
tylko, że mam prawo zabić
i pożreć każdego, kto mnie nie
kocha. —

— Więc, gdybym cię kochał,
nie zabiłbyś mnie?

— Ach! — rzecze sęp —
gdybyś mnie kochał, oddałbyś
mi dobrowolnie twoje gniazdo,
a również dobrowolnie dałbyś
mi się pożreć, aby moja osoba
mogła się nieco zaokrąglić i
utyć. —

— W każdym zatem razie
nie uniknąłbym zguby. —

— Rozumie się. Jednakże
śmierć z poświęcenia przynio-
słaby ci większy zaszczyt. —

Chwila milczenia.

— Co ma być, to będzie,
mówi wreszcie sokół, ale po-
wiedz mi też, mój kochany, kto
cię nauczył tak rozmawiać. —

— Ustyszawszy to sęp, podno-
si głowę i mówi z wielką dumą;

— Prostu! to chyba nie
wiesz, że ja przez dwa lata
byłem na edukacji w ogrodzie
zoologicznym w Berlinie. —

— Tak? mówi sokół. Ha!
to w takim razie nadzieja moja
tylko w Bogu i trochę także
w dziobie!

(—) Henryk Sienkiewicz
Warszawa 27.III.1902.

W czterdzieści lat po śmierci,
najlepszego z prozaików pol-
skich pozwałam sobie przesłać
do „Nowego Świata”, ten mało
znany, bądź zupełnie nie opubi-
kowany tekst.

Z. PECHERSKI



Podczas niedawnej wizyty w Warszawie Mr. Johnstona oraz
Mr. Bernarda Kreislera — prezesa korporacji „International Film
Associated Corporation” i rozmów w Centrali Wynajmu
Filmów, zawarto umowę ramową na zakup 10 filmów produkcji
amerykańskiej. Wśród filmów amerykańskich, które zobaczymy
w Polsce, znajdzie się film wyświetlany na ostatnim festiwalu
w Wenecji — „Bigger than Life” („Większy niż życie”) z akto-
rem angielskim Jamesem Masonem w roli tytułowej. J. Mason gra
rolę nauczyciela zmuszonego do wyczerpującej dodatkowej pracy,
by swej rodzinie zapewnić utrzymanie. Doprowadzony do zupeł-
nego wyczerpania fizycznego, podtrzymuje swe siły środkami
podniecającymi, wskutek czego dochodzi niemal do katastrofy.

niefachowców, a które — jej zdaniem —
mogłyby być wzorem zagranicy badane
przez uczelnie politechniczne.

W atmosferze szczerości i prawdy zni-
ka potrzeba ukrywania własnych
poglądów. Wytwarza się klimat, w któ-
rym na dotychczasowe „wzorce” spoglą-
damy krytycznym okiem. Przez wiele lat
było rzeczą wysoce nieostrożną mieć np.
wątpliwości co do niektórych przeszer-
czanych na nasz grunt doświadczeń ra-
dzieckich. Naukowcy nasi orientowali
się dobrze, że np. radzieckie typy ciągni-
ków są dla naszych potrzeb mało przy-
datne. Ale o tym nie wypadało mówić.

Gdyby nie fizyka Einsteina, nie byłoby
dziś nauki o atomie! A iluż to ludzi nara-
ziło się na przykre konsekwencje, mając
odwagę głoszenia tego przed paru laty!

Ostro wżarły się w ciało polskiej nauki
pęta dogmatyzmu i jego skutków, który-
mi chciano skrepić to, co nie znosi
żadnych wątpliwości: myśl ludzką. Pomóżmy
naszym uczonym zatrząść jak najżybciej
bolesne i wstyd przynoszące sińce.

Julian MIKOŁAJCZAK

Powiedział ktoś, że w życiu
widzimy więcej łez niż
uśmiechów. Możliwe, że są
ludzie okrywający pozornym
spokojem najgłębsze cierpienia.
Niedawno poznałem takiego
człowieka. Z uśmiechem opowia-
dał o swoich przeżyciach. Ka-
żde z nich było na miarę an-
tycznej tragedii.

Rok 1939. Zawrotny pęd sy-
beryjskiego ekspresu... Zgrzyt
hamulców.

Czelabińsk!

— Czort pod wagonem,
czort! — rozlega się nagle
okrzyk. Wydaje go stary kole-
jarz, opukując młotkiem koła
restauracyjnego wagonu.

— Jaki znowu czort? —
dziwi się konduktor. Przecież
w Matiuszce Rassyi od czasów
Lenina wszystkie diabły po-
wydzichały. Śmiech. — Zbie-
gowisko.

Spomiedzy resorów pullma-
nowskiego wagonu wyciągają
czarnego jak nieszczęście mło-
dego chłopca. Tramp z londo-
nowskiego szlaku. Polak.
Uciekł z domu. Chciał dotrzeć
do Cieśniny Beringa, a stam-
tąd do Alaski. Jechał na spotka-
nie wielkiej przygody. Na
razie skończyła się ona w ra-
dzieckim „Dietdomu”.

— Jest to coś w rodzaju do-
mu poprawczego — dorzucił
wyjaśnienie poznany przeze
mnie przypadkowo w Parku Ka-
sprzaka człowiek. — Przesie-
działem w nim blisko rok.
Wkrótce wybuchła wojna. Tes-
nota za nieznanym parła na-
przód. Uciekłem. Przedzieralem
się na Wschód. Mój cały mają-
tek stanowił kompas, ukradzio-
na dubeltówka i ciepłe ubra-
nie...

Do rodzinnego kraju dostał
się Jan Fleszar — bo o nim
piszę — dopiero w 1942 r. Je-
go tułaczę ślad wiódł przez
Władywostok, Japonię, Chinę,
Indie, Persję... Wiesz pod Sam-
boorem leżała w gruzach. Nie
ocalał i jego dom. Ojciec, dwie
siostry i brat — rozstrzelani
przez hitlerowców. Chorowitą
matkę — pognano do Niemiec
na roboty. Na zgłiszczach ro-
dzinnego domu umarł w sercu

Fleszara lekkomyślny tramp, a
narodził się cierpiący człowiek.
Miał wtedy 18 lat.

Za ostatnie pieniądze po-
stałem czterech krzyżów.
Po trzech miesiącach, jak wy-
trawny zwiadowca, ominąwszy
wszelkie przeszkody, dostałem
się szczęśliwie do armii An-
dersa. Żyłem pragnieniem zem-
sty — uniewinniał się jakby

— Massa, kupić coco... o...
tak... do nos i robi się słodko...
Kupić...

Kokaina... Miliony nieszczę-
ści i zbrodni wyległo się z jej opa-
rów. Fleszar rozciera machi-
nalnie na dłoni biały proszek.

— Skąd go masz?

Panama...

— Przemycasz?

— Tsss... — Murzyn przy-
łożył palec do szerokich ust. —



Michał Prawdzie

ANDERSOWIEC

Opowieść prawdziwa

przed samym sobą. Silną, spra-
cowaną dłońią pogładził machi-
nalnie granatowo-czarną czu-
prynę. Jego mocna w wyrazie,
pociągła twarz nie zdradzała
ślada wzruszenia. Atletyczna
budowa utwierdzała przekonanie,
że ten człowiek mógł się
mocować zwycięsko nawet ze
śmiercią. Istotnie tak było.

Monte Cassino. Ognisty hu-
ragan pocisków. Fleszar wdzie-
ra się jako jeden z pierwszych
do ruin klasztoru. Zdobył w
tym natarciu dwie ciężkie ra-
ny i odznaczenia. Pod włoskim
niebem, kapryszącym chmurami
— stanął szereg polskich
bohaterów. Przed nim dowódca
pułku.

— Fleszar!

Jest.

— Dekoruje was... płyną sło-
wa drogie sercu każdego żoł-
nierza, w każdym kraju.
— Macie jakieś życzenia?
Może urlop? — szare oczy do-
wódcy spoglądają życzliwie.
— Nie, dziękuję — pada
twarda odpowiedź. — Urlopu
mi nie potrzeba. Nie mam do
kogo — głos załamuje się na
chwilę — jeżeli, to wysłicie
mnie do morskiej szkoły w Li-
verpoolu. Chcę zostać ofice-
rem marynarki...

— Fleszar!

W 1945 roku Fleszar włożył
do kieszeni dyplom. Był
teraz 3 oficerem — me-
chanikiem. Z trampa przedzie-
rzgał się w wartościowego
człowieka. Pływał na frachtow-
cach amerykańskich z myślą,
że pracuje dla chorej matki.

Odnalazł ją w Ravensbrück, a
właściwie jej cień, w którym
tliła jeszcze — mimo okropno-
ści obozu — iskierka życia.
Zamknął ją w ramionach i za-
niósł jak najdroższy klejnot do
samochodu.

— Jak tyś mnie odnalazł?

— spytała cicho głosem na-
brzmiałym od łez.

— Przez Czerwony Krzyż.

— A dokąd jedziemy?

— Do mnie, do Liverpoolu

— brzmiała odpowiedź.

Nie na długo jednak wystar-
czyło Fleszarowi tej dumy. W
niespełna rok, wykorzystując
dobre przewidywanie, zwolnio-
no go z pracy. Był przecież tyl-
ko Polakiem.

— Wróćmy do kraju. Jasiu,
nie martw się — pocieszała
chora matka. Wzruszał ramio-
nami na te słowa.

— Jestem andersowcem, nie
mam zamiaru poznać się bliżej
z „Bezpieką”, rozumiesz? Mam
inne plany. Istotnie plany
miał. Nie wiedział tylko, dok-
ąd go zaprowadzą...

Nie ma pieniędzy. Można za-
robić. W San José sto dolarów,
w Chicago 35 tysięcy za kilo.

Fleszar odrzucił Murzynę i
wrócił zamyślony na statek. Za
trzy tygodnie kończy ostatni
rejs. Zostanie bez pracy. A cho-
roba matki pochłania wielkie
sumy... Zaoszczędził kilkaset
funtów. Ale czy długo to wy-
starczy? Nieznane lady śro-
dowej Ameryki ciągnęły jak
magnes. Złoto w górach, coca
u Indian. Czy ma się wahać
przed ryzykiem... On?

Po kilku miesiącach Fle-
szar zamieszkał wraz z
matką w San José. Klimat Pana-
my nie był odpowiedni dla Fle-
szarowej, ale „skoro Janek
dostał tutaj świetną posadę”
— nie zważała na taki drob-
niaczek. Ciężko jej było oddać
się od Ojczyzny. To prawda.
Ale syn obiecał, że kupi fermę.
Niedużo. W sam raz dla nich
dwojga. Bo tylko oni ocalili z
całej rodziny. Więc, jak te
ptaki musza się trzymać ra-
zem, jeśli przeciwnie wiatry nie
pozwalają jeszcze wrócić do
gniazda. Poza matką nie wi-
dział Fleszar świata ni ludzi.
Była jego piękną i modli-
twą.

Jego miłość do matki była
może trochę egzaltowana, gdyż
w uczuciu tym zagubił nawet
siebie i własne pragnienia. Fle-
szarowa mimo ciężkiej choroby
serca była pięknym typem no-
wosądeckiej góralki. Wysmu-
kła i wiotka; drobne rysy twa-
rzy ożywiała para dużych
czarnych oczu, patrzących na
świat jakby z wyrzutem. Mia-
ła 45 lat, lecz wyglądała bar-
dzo młodo. Jan nie był podobny
do matki i gdy spacerowali
nierzadko pod rękę — można ich
było wziąć za dorodną parę
małżeńską.

Po upływie pół roku wycer-
pały się oszczędności. Niespo-
sób było dłużej udawać przed
matką. Fleszar nie mógł zdo-
być żadnego stanowiska. Na
posady nie dopuszczano cudzo-
ziemców. Pozostawał kontakt z
szumowinami, przemyt kokai-
ny albo szukanie... szczęścia.
Pewnego dnia Fleszar na-
oliwił broń i zaczął ładować
plecak. Po ukończeniu przygo-
towań położył przed matką
czek na sto dolarów.

— Zostawiam ci wszystkie
pieniądze. Mieszkanie zapłaci-
łem za rok z góry. Wróć za
4—5 miesięcy.

— Gdzie się wybierasz?

Fleszarowa spojrziała na syna
z niepokojem.

— W Sierra Madre odkryto
złoto.

— Aż do Meksyku? — za-
łamała ręce. Zabijają cię te ko-
nuchy.

Uśmiechnął się — Mnie? Za-
bijają? Bądź zdrowa... Wróć
prędej, niż się spodziewasz...

Sierra Madre. Przedłużenie
Kordyliarów, otaczających
poszarpanymi iglicami szczy-
tów meksykańską wyżynę. Ka-
mienne stróżki, czuwające nad
mogilami Azteków, w których
dziś jeszcze można znaleźć dro-
gocenne kamienie i sztaby zło-
ta.

Górskie pustkowia nęciło Fle-
szara złotym piaskiem. Wy-
pukał go za kilka tysięcy z
górskiego potoku. Parę sa-
morodków zaszył w skórzaną
kurtek. Wracał zadowolony. Ku-
pi wreszcie domek dla matki.
Będzie miała codziennie kawę
ze śmietanką i świeże bułeczki.

Wrócił, ale z rozbitą głową...
Banda dzikich metysów na-
padła go, obrabowała i porzu-
ciła z dziurą w czaszce... Za-
skoczyli go podczas noclegu...
I tak trzech położyło... Uratował
tylko zaszyte samorodki, glu-
pie 300—400 dolarów. Po wy-
zdrowieniu Fleszar, ulegając
namowom przygodnych kolegów,
rzucił się na przemyt kokainy.
Robił to, czego nie chciał. Jego
zdrowy zmysł psychiczny za-
czął powoli drażnić bakcyl roz-
kładu.

I o dziwo. Pierwsza i druga
tura do Chicago udała się. Roz-
począł przemyt na własną rękę,
własnym kapitałem. Nie
chciał uzależniać swojej egzy-
stencji od gangsterów. To go
zgnębiło. Przedsiebiorczy Polak,
chodzący luzem, zwrócił uwagę
podziemia. Aresztowano Fle-
szara w chwili, gdy przewoził
4 kilo kokainy. Otrzymałby za
to sto tysięcy dolarów i mógłby
wreszcie razem z ukochaną
matką rozpocząć inne, niezale-
żne życie.

Skazano go na 12 lat wię-
zienia. Przeklinał grupę po-
myślnie umieszczonych przemytu
w zapasowym kole samochodu.
Dlaczego nie wyspał jej do
„baku” z benzyną? Stało się...
Król kokainy, Polak, Charles
Guzik z Chicago nie kiwnął
nawet palcem w jego obronę.
Gdyby był bogaty, wykpiłby
się z tej afery łapówką... Ura-
towało Fleszara to, że był
obcokrajowcem. Zamieniono
mu karę na deportację do Pol-
ski. Zgodził się. Matkę mieli
wysłać do kraju później. Ale
nie wysłali.

Kiedy na lotnisku w Okęciu
otwarły się drzwi samolo-
tu Fleszar wpadł w „objęcia”
urzędników bezpieczeństwa. Po
sądzonego go o... współpracę z
obcymi agenturami. Siedział pół
roku, wreszcie wypuszczono go
na wolność. Może by i został w
kraju. Przyglądał się przecież
naszej pracy, zmaganiam i
chociaż „Andersowiec” nie
miał biela na oczach. Jeszcze
teraz dźwięczy mi w uszach je-
go zapewnienie:

— Byłem niewinny. Pusz-
czono. Tułałem się jak parszy-
wy owca. Ani rodziny, ani zna-
jomych. Listy do matki pozos-
tawiały bez odpowiedzi. Zda-
wało mi się, że przez oceany
wyciąga do mnie ręce, błagając
o ratunek. Co pan chce? Je-
dyny syn — jedyny bliski i
żyjący dla niej człowiek. Gdy-
by tu była... zakasałbym ręką-
wy i wziął się do pracy. Czy
miałem ją zostawić tam na
łasce losu?

Zaryzykował... Przy przecho-
dzeniu granicy wzwyżł go pies
wopisły. Kosztowało to znowu...
3 lata więzienia.

W maju 1956 roku wypuści-
ła Fleszara na wolność am-
nestia. Tym razem zaopieko-
wano się nim należycie. Dano
pracę, wciągnięto do społecz-
nego życia. Jedynie nie mógł
powrócić do San José, jako ka-
rany przez tamtejsze sądy prze-
stępca. Nie ręczę jednakże za
to, czy Jan Fleszar nie znaj-
duje się obecnie na drugiej
półkuli — w poszukiwaniu mat-
ki. A jeśli Jan Fleszar przeży-
wa w kraju? Cóż... Powiem
tylko tyle:

— Przyjacieliu. Po burzli-
wym dzieciństwie wyrosłeś na
dzielnego człowieka. Rozpro-
stuj się w wolnej Ojczyźnie.
A my postaramy się znaleźć za
oceanem twoją matkę...

kretnych poznańskich warunkach nie mia-
ły racji bytu. Politechnice Poznańskiej
narzucono wręcz np. specjalność samo-
chodową, mimo że brak w naszym mie-
ście odpowiedniej bazy doświadczalnej.
Natomiast kierownictwo szkoły od wielu
lat nie miało się do próśb wprowadzenia
specjalności odlewniczej, tak ważnej z
racji istnienia w Poznaniu potężnego
ośrodka przemysłu metalowego. Zaledwie
przed 2 laty zgodzono się z oporami na
utworzenie Wydziału Mechanizacji Rol-
nictwa, o którego potrzebie nie musimy
nikogo przekonywać. Długie starania o
uzyskanie gospodarstwa doświadczalnego
w Żernikach pod Poznaniem, wchodzi do-
piero teraz w fazę realizacji.

Teraz też dopiero uczelnia, wkraczając
na drogę dużej samodzielności, może rea-
lizować swe dawne marzenia: **większego
związania się z przemysłem.** Pierwsze po-
czątki zostały zrobione. Niektóre zakłady
pracy (HCP, TASKO, Wiepofana, Zakł.
Elektrotechniczne nr 6) ofiarowały niepo-
trzebne im urządzenia i aparaty dla po-
trzeb uczelni. Politechnika Poznańska do-
gada się też napewno z przemysłem w
kwestii tzw. prototypów, badanych dotych-
czas na miejscu lub w Warszawie przez

Écrire en image

— pisać obrazem

Właściwie nazywał się René Chomette. Filmu nie lubił. Kiedy przypadkowo został aktorem (a wiedział, że jest kiepskim aktorem), występował pod przybranym nazwiskiem. Rychno jednak nazwisko — René Clair — miało mu przynieść sławę na całym świecie.

Rok 1929, w którym nakręcił swój słynny „Antrakt” należy do okresu gorących dyskusji nad sztuką. Były to lata „burzy i naporu” przeciwko obowiązującym dotychczas kanonom — nie tylko w filmie. Okres ten do niedawna zbywano lekceważącym terminem „formalizmu”, pomijając jego wielkie znaczenie dla rozwoju sztuki, a zwłaszcza malarstwa.

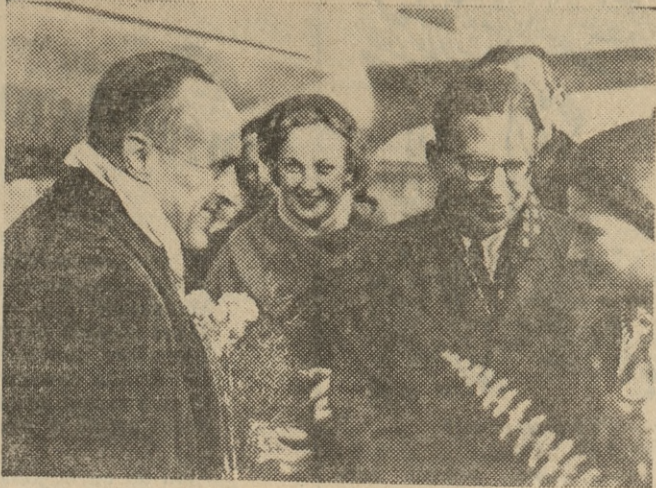
Jak wiadomo, dadaści, a później surrealiści, buntując się przeciwko sztuce tradycyjnej, przeciwko więzom, jakie narzuca fabuła — postulowali sztukę wyzwoloną, sztukę zupełnie bez treści (toteż grubym nieporozumieniem były i są podejmowane do dziś próby logicznego „tłumaczenia” pierwszej części „Antraktu”). Ciekawe, że głosząc sztukę bez treści, a więc bez logiki — dadaści byli w określaniu swego kierunku bardzo... to głośni. Sylaby „dada” — nie przecież nie znaczą...

Pozostawmy jednak dadaistów w spokoju. Zwłaszcza że film, a zwłaszcza Clair, szybko otrząsnął się z formalistycznych nowinek. W latach, kiedy dadaizm przeobrażał się w najbardziej jego skrajną odmianę — surrealizm*, — poszedł inną własną, drogą. Pierwsze odstępstwo od francuskiej awangardy widać już w „Antrakcie”.

Scenariusz do tego filmu, który był pomysłem jako wstawka do programu baletowego (stad tytuł), na piśmie jeden z czołowych dadaistów — Francis Picabia. Po opisie szeregu scen, mieszających się w pierwszej części filmu, Picabia dalszy ciąg zajął tylko jednym zdaniem: „karawan ciągnięty przez wielbłądy, etc”. Resztę rozwinął samodzielnie Clair. Rozwiniął — już po swojemu. Druga część „Antraktu” od sceny zapoczątkowanej „karawanem ciągniętym przez wielbłądy” — różni się w znacznym stopniu od czysto abstrakcyjnej części filmu. Różni się przede wszystkim właśnie nieciętą fabulą — niesamowitą i nieprawdopodobną, ale nie pozbawioną logicznego wątku. Dziwny początek pogrzebowy, płynący początkowo nienaturalnie powolnym krokiem, przyspiesza kroku, biegnie w tempie coraz bardziej zaniepokojonym. Clair, dzięki zwykłemu trickowi zdjęciowym, przyśpieszonych, uzyskuje tutaj znakomite efekty komiczne. Potęguje je świetny, a w dalszym ciągu abstrakcyjny — choć logicznie porządkowany pomysłem — epizod z kaleką, wyskakującym ze swego wózka i gnającym wraz z innymi w pogoń za uciekającym karawanem.

Już w tej części „Antraktu” mamy przedsmak clairowskiego stylu. Stylu, który w następnych filmach René miał rozwijać w wielką sztukę obrazu.

Myślę, że dla pełnego zrozumienia stylu Claira wystarczy obejrzeć jeden film — „Pięć nocnych”. W nim bowiem, jak w soczewce, skupiły się najbardziej charakterystyczne cechy clairowskiej sztuki. Znajdziemy tu wszystko to, co jak najbardziej jest filmem, czego nie może dać żadna inna sztuka — ani literatura, ani scena, ani plastyka — najbliższe sąsiadki X Muzy. Realny świat przeplata się i łączy z marzeniami sennymi. Pitecanizacja, maczuga, dumasowskie kawałki, francuscy rewolucjoniści i kelnerka podrzędnej kawiarni paryskiej — występu-



Wielki artysta francuskiego filmu René Clair (na zdjęciu z lewej) przebywał ostatnio w Warszawie, serdecznie przyjmowany przez polskich filmowców.

Fot. — CAF

ją obok siebie, połączeni dowcipną fabułą. Są w tym filmie po jedynki Fanfana, operetkowe arie „Milion”, atmosfera paryskiego przedmieścia z „Pod dachami Paryża”, i wizualny, nie wymagający dialogów styl gry aktorskiej ze „Stomkowego kapelusza”. Jest w „Pięć nocnych” i liryzm, i komizm, i charakterystyczna dla Claira leciutka ironia w sposobie traktowania bohaterów. Jest cały Clair, pełna kwintesencja jego wielkiej sztuki.

★

Wizualność, obrazowość Claira można najłatwiej wykryć obserwując jego dowcipne utarczki ze słowem w pierwszych filmach dźwiękowych, wyświeblanych w klubach dyskusyjnych. Clair — podobnie jak Chaplin — był mistrzem pokazywania akcji poprzez obraz. Toteż z wielką niechęcią przyjął wynalazek dźwięku, obawiając się że grozi on sztuce filmowej ciężkimi, statycznymi, mówionymi partiami. Dziś, kiedy oglądamy niektóre filmy, zwłaszcza filmy ostatnich lat, widzimy, że obawy te nie były płonne. Zbyt wielu reżyserów współczesnych choruje na nadmiar słowa i woli rozgrywać akcję poprzez dialogi, poprzez tyrady aktorskie — zamiast wyrazić ją ruchem.

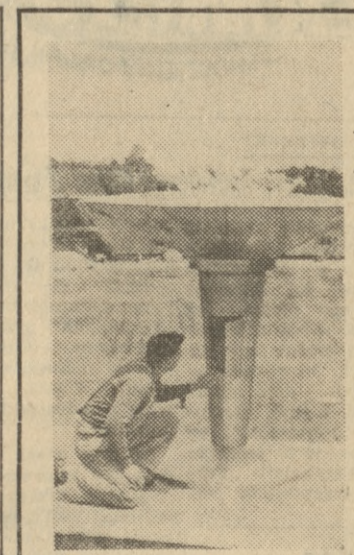
W filmie niemyim reżyser musiał opowiadać obrazem. Ale z chwilą, kiedy publiczność

domagała się dźwięku, Clair nie mógł kręcić filmów niemych. Nigdy bowiem nie lekcewał zdania publiczności. Jak więc próbował godzić słowo z dewizą „pisanie obrazem”?

Po obejrzeniu pierwszych dźwiękowych pisze: „Istnieje możliwość przydania słów obrazowi, bez rezygnowania z osiągnięć filmu niemego”, a dalej stwierdza, że „nie potrzeba słyszeć wszystkich trzasków drzwiami i chrapania wszystkich śpiących. Nie ma potrzeby słyszeć mowy, kiedy otwierają się czyjeś usta. Trzeba wybierać”. To też w późniejszym jego filmie „Pod dachami Paryża” słyszymy piosenkę „Sous les toits de Paris” w czasie, gdy obiektyw pokazuje widok wewnątrz mieszkania. W tym samym filmie bohaterowie rozmawiają przez szybę, tak że głosu nie słychać, a widzę doskonale orientuje się, o co chodzi z... obrazem. W „Milionie”, kiedy bohaterowie wrywają sobie odnalezioną marynarkę z wygranyim losem loteryjnym, słychać odgłosy... meczu rugby. Więcej nawet — aby uniknąć dialogu, Clair każe swym bohaterom... śpiewać operetkowe arie.

Z czasem Clair przestał bać się dialogu. Ale nigdy, w żadnym jego filmie nie odgrywał on decydującej roli. Clair zawsze pozostał wierny dewizie „pisanie obrazem”. Jego wielkość polega na tym, że miał pełną rację. Sztuka ekranu jest sztuką obrazu. Tym przede wszystkim różni się od teatru. I jeżeli dziś mówimy o konieczności wywyższenia naszego filmu na wyższy poziom, to — poza sprawami scenariusza — największą rolę odgrywa tutaj sprawa warsztatowa: umiejętność zbudowania sytuacji, umiejętność pokazania treści poprzez filmowy, ruchomy obraz.

Janusz BINIEK



Plonie znicz olimpijski

„W igrzyskach olimpijskich nie jest ważnym zwyciężyć, ale walczyć dobrze, z rzetelnością i uczciwym sercem”.

Pierre de Coubertin

Zapłonął znicz olimpijski na Cricket Ground w Melbourne, zalopotała przewiewiona z Helsinek olimpijska flaga z pięcioma kołami.

Igrzyska Olimpijskie są najsłachetniejszym zmaganiem jednostek, zespołów i narodów. Czyż więc należy się dziwić, że każdorazowo w okresie Igrzysk Olimpijskich wszystkie inne wydarzenia nikną w ich cieniu? W miły tradycji starożytnych, w chwili, gdy zapłonął znicz olimpijski, ustawała walka poważnych miast greckich, a najbardziej zawzięci przeciwnicy podawali sobie dłoń. Znicz olimpijski już od Aten był symbolem pokoju i braterskiej rywalizacji.

„Citius, altius, fortius” — „szybciej, wyżej, silniej” — takie motto olimpijskie przyświe-

Pod znakiem pięciu kół olimpijskich

cało sportowcom wszystkich czasów podczas Igrzysk.

60 lat temu w I nowożytnych olimpiadzie, jaka odbyła się w Atenach 1896 roku, wzięła udział amerykańska drużyna, złożona z większości ze studentów. Drogą zbiórki pieniężnej uzyskała ona środki niezbędne do odbycia dalekiej podróży i 20 marca załadowała się na stary okręt handlowy, odchodzący z Nowego Jorku do Europy. Ot warcie Igrzysk było naznaczone na 18 kwietnia, tak, że drużyna miała w zapasie sporo czasu. Kiedy jednak po 12 dniach podróży wyładowała w Neapolu, dowiedziała się ku swej rozpaczy, że data otwarcia Igrzysk była wyznaczona według starożytnego kalendarza greckiego i że pozostało zaledwie 5 dni, by dotrzeć do Aten.

W Neapolu znaleziono jedynie stary kuter rybacki, który po awanturze przeprawy po wzburzonym morzu dowiózł Amerykanów do Patraso, gdzie złapali pociąg. Po 10-godzinnej podróży dotarli nareszcie do Aten, dokładnie na godzinę przed rozpoczęciem Igrzysk.

Program I nowocześniejszej Olimpiady obejmował 12 konkurencji lekkoatletycznych. Amerykanie umieli biegać, a to wówczas — rozumie się — już wówczas — znacząco. Nie wiedzieli jednak od czego zaczynać i do jakich konkurencji się zająć. Do pierwszej próby — trójskoku zgłosił się odważnie Connolly. Chłopiec widocznie dobrze przypatrzył się, jak skakali jego przeciwnicy, bo gdy nadeszła jego kolejka, uplasował się na I miejscu (13,71 m).

Rodak Connolly'ego — Gar-

Zbigniew Pędziński

„KRZYŻACY” na scenie?!

Myślę, że nie tylko ja z dużą sympatią i przyjemnością obserwuję pracę Eksperymentalnego Zespołu Artystycznego Kuźnica Związku Zawodowego Pracowników Kultury w Poznaniu. Powstał on w czasach, kiedy żadnemu czynnikiowi oficjalnemu nie śniła się na wet decentralizacja i ożywienie życia kulturalnego w kraju poprzez działalność i twórczość grup artystycznych. Kuźnica — mimo trudnych warunków materialnych, a zwłaszcza zawziętych prześladowań Zespołu i jego kierownika, Lucjana Rabskiego, przez byłego dyrektora Teatru Polskiego Aleksandra Gassowskiego — dała sporo ciekawych inscenizacji, kilka prekursorskich prapremier (choćby *Bezplodna* Garcí Lorci) i ma swój niewątpliwie udział w krzewieniu, tak istotnej dla naszego regionu, kultury teatralnej w Wielkopolsce.

Wszystko to nie zwalnia, a przeciwnie: zobowiązuje do krytycznego spojrzenia na dalszą drogę Kuźnicy, na właściwe wyzyskiwanie przez zespół konsekwencji, wynikających z jego ambitnego określenia: „eksperymentalny”. Cóż to jest eksperyment w kulturze, a zwłaszcza w teatrze? Jest to twórcze i odpowiedzialne szukanie nowych koncepcji programowych i inscenizacyjnych, których gatunkowy ciężar nie może w żadnym wypadku złać kregosłupa ideowego zespołu — których realizacja nie wprowadzi go na śliską i niepewną drogę maniery i sztampy aktorskiej.

Poznań teatralny absolutnie nie potrzebuje i nie oczekuje od Kuźnicy sztucznej i gorszej kopii działalności teatru zawodowego — potrzebuje natomiast i oczekuje od tego zespołu prawdy twórczej, nowatorskiego fermentu, wprowadzonego w ospale od kilku lat życie kulturalne naszego grodu i regionu.

Jeśli uznałem za konieczne przypomnienie tych niewątpliwych aksjomatów wynikających z istnienia „Kuźnicy” — uczyniłem to dlatego, że ostatnia prapremiera tego zespołu: inscenizacja „Krzyżaków” Sienkiewicza, dokonana według adaptacji Lesława Eustachiewicza, stanowi, niestety, przykład ucieśnienia wyszczególnionych wyżej obaw. Nie pomogą tutaj pracownicy zebrane przez autora adaptacji w programie spektaklu dane, które świadczą o tym, że nie pierwszy to raz próbowano zrobić ze znakomitego powieściopisarza kiepskiego dramaturga. Fakt pozostaje faktem: poprzez inscenizację „Krzyżaków” dużo mniejszą szkodę uczyniono Sienkiewiczowi aniżeli „Kuźnicy”.

Już zdrowy rozsądek każdego rzetelnego odbiorcy literatury musi się buntować na myśl, że ogromne i wspaniałe dzieło prozatorskie spróbowano wtłoczyć w szcuple ramy (oczywiście: szcuple dla Krzyżaków, bo aż nazbyt nuzące dla widza) trzy i pół godzinne spektaklu. Krzyżacy nie są przecież Eugenią Grandet Balzaka, ani pierwszym tomem Emancypantek Prusa, których adaptację podejmowano u nas po wojnie — w przeciwnieństwie do tych zwartych i oszczędnych w kompozycji powieści okazują się utworem obfitym w postacie i zdarzenia, których jakikolwiek wybór musi utrudniać się z okaleczeniem książki, zubożeniem widza o istotne elementy i wartości dostępne dla czytelnika. Co więcej: położenie nacisku w tym wyborze na elementy „krzyżackie”, związane z historią i działalnością drapieżnego zakonu, grozi „przejęciem pałki” w stronę obcego Sienkiewiczowi szowinizmu — uprzywilejowanie perypetii sercowych Zbyszka, Danusi i Jagienki traci słodkawy i równie odległy od Krzyżaków sentymentalizm.

Szczęście w nieszczęście, że adaptacja Lesława Eustachiewicza uniknęła obu tych niebezpieczeństw, co jednak bynajmniej nie poprawiło poziomu artystycznego spektaklu. Ów zlepek żywych obrazów, jaki za demonstrowała nam „Kuźnica”, nie ma zgola nic wspólnego ze zwartą i wymowną dramaturgiczną koncepcją, którą powinna posiadać każda adaptacja z prawdziwego zdarzenia. Trzy i pół godziny, wypełnione przez strzępki koncepcji dramatycznych i reżyserskich, świadczą o niewątpliwym i zrozumiałym zresztą najzupełniej braku zdecydowania się zarówno Lesława Eustachiewicza, jak i Lucjana Rabskiego na zasugerowanie aktorowi i widzowi jednej, konsekwentnie przeprowadzonej „idei przewodniej”, streszczającej metaforycznie sens spektaklu.

Wokół przedstawienia, a także w czasie prapremierowej dyskusji unosiły się niejasne sugestie autora adaptacji i reżysera, ażeby owo spreparowanie Krzyżaków uważać za rapsodyczne, rozpatrywać w konwencjach teatru poetyckiego, w którym panuje głównie słowo, jego intonacja i melodia.

Na Jowisza! — Nie mogę oprzeć się pytaniu, czy sugerując to widzieli kiedykolwiek przedstawienie teatru poetyckiego, chociażby tak niesłusznie i niesprawiedliwie usuniętych z polskiej sceny „rapsodyków” Mieczysława Kotłarczyka z Krakowa. Gdyby tak było, zrozumieliby na pewno, dlaczego właśnie Sienkiewicz ze swym nadzwyczaj prostym i przystającym do opisywanej rzeczywistości sposobem wyrażania świata poprzez język apelujący głównie do zmy-

ślów i wizualnych atrybutów wyobraźni czytelnika — dlatego właśnie Krzyżacy nie nadają się najzupełniej do scenicznej adaptacji.

Przy utworach autora Trylogii nie ma na ogół mowy o poetyckiej metaforze. Przenosiła, która na przykład Sienkiewiczowi kałała w dobie największego ucisku zaborców przypominać lata siedem nastoletniego potopu, rozumiana jest przez tego pisarza prosto i niedwuznacznie — a wszak na dwu — i wieloznaczności polega cała istota poetyckiej wizji i narracji. Adaptacja Krzyżaków, udestępniona nam przez Lesława Eustachiewicza i Kuźnicę nie ma na wspólne ani z teatrem poetyckim, ani ze sceną realistyczną — nie mamy co do tego złudzeń!

Dlatego właśnie przez trzy i pół godziny obserwować mogliśmy wytrwałe i konsekwentne... łamanie, niewątpliwych nieraz, talentów aktorskich przez adaptatora i reżysera. Ich dezorientacja udzieliła się całemu zespołowi, który grał nerwowo i chaotycznie, zmuszany wciąż do zmiany stylu gry aktorskiej, do sztampy i tanich, sentymentalnych efektów. Nie sądzę, ażeby owa adaptacja „Krzyżaków” wyrządziła wielką szkodę kulturze teatralnej Poznania — jest ona natomiast niewątpliwą, jeśli chodzi o świeżych, młodych i ambitnych aktorsko członków tego zespołu. Żał było patrzeć, jak ich niewątpliwie zdobycze w tej dziedzinie, za-demonstrowane w poprzednich spektaklach, zostały obecnie wykosławione i zmarnowane.

Ponieważ miałem już wielką i niewątpliwą przyjemność chwalenia „Kuźnicy” na łamach ogólnopolskiej prasy literackiej — chyba niesamowicie przyznając sobie prawo uderzenia na alarm wówczas, gdy ów zespół zbacza na niepewne i śliskie ścieżki artystyczne. Jest to moim osobistym, głębokim i szczerym przekonaniem i dlatego uważam za swój obowiązek zapoczątkować w ten sposób dyskusję nad dalszą przyszłością „Kuźnicy”. Poznań teatralny otrzymał bowiem od aktorów tego zespołu już bardzo wiele i ma prawo oczekiwać od nich czegoś więcej niż realizacji karkołomnych i skazanych z góry na przegrana „eksperymentów” w cudzysłowie.

Czy czytałeś już?

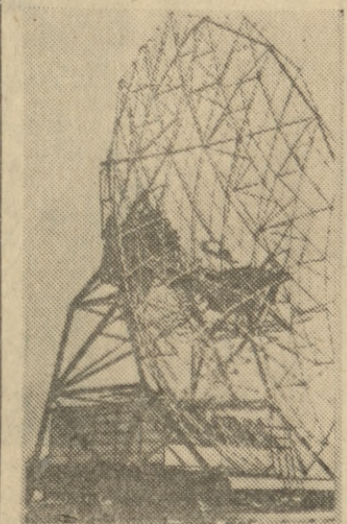
A. JACKIEWICZ. — Latarnia czarnoksięska — Wyd. FAW — cena 14,40 zł.

Zbiór felletonów poruszających najróżnorodniejsze zagadnienia sztuki filmowej. Dzięki swojej atrakcyjnej i dostępnej formie zainteresuje on najszersze rzesze miłośników filmu, zapoznając ich ze specyfiką sztuki filmowej. Książkę cechuje wdzięk, dowcip i byskotliwość. Jest ona bogato ilustrowana rysunkami.

NALKOWSKA. — Pisma wybrane. — Wyd. Czyt. — cena 63,-. Wznowienie, znacznie rozszerzone i poprawione, „Wyboru pism” znakomitej, niedawno zmarłej pisarki.

TATRZAŃSKI PARK NARODO- WY. — Wyd. PAN — cena 25,0 zł. Książka obejmuje rozdziały: Jak powstały Tatry? Przyroda jaskiń tatrzańskich, O wodach tatrzańskich i ich faunie, Lasy tatrzańskie, Świat zwierzęcy Tatr, Pasterstwo w Tatrach, Turystyka i ochrona przyrody tatrzańskich, Dzieje realizacji Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Nowy radioteleskop



Nowy, wielki radioteleskop, wyprodukowany w Holandii, posiada przekrój 25 m. Urządzenie to pozwoli na dokonywanie wielu interesujących badań nad obiektami astronomicznymi, wysyłającymi fale radiowe.

* Przykładem filmowego surrealizmu jest „Pies Andaluzji” Buñuel i S. Dali.

Traszkowski

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

NAWET

Nawet Westalce
patrzaj na palce!

RADA

Nim się zaczniesz pchać do
raju —
najpierw spróbuj do tramwaju!

VENUS

Byłabyś jak Venus z Milo,
gdyby — drobiazg — nie sto
kilo.

OKAZJA

Mam miecz Damoklesa!
— Co na to „Desa“???

RADA SUBTELNA

Nie pytaj kwiatu o zapach,
kiedy go gnieciesz w łapach.

ALEKS. WOJCIECHOWSKI

ANALOGIA

To jest głowa Afrodyty
Jakie oczy, rzęsy, usta!
Tak.
To posągowa głowa.
Bo, niestety, wewnątrz pusta.

PEWNA PANI
NA KONCERCIE

Nim jeszcze przebrzmiał akord
ostatni
Ona już pędem biegła do szatni

T.H.N.

Klemens Mięczak

Rysopis: oczy zamglone, włosy zmierzwiłone, usta — rzecz gustu, wzrost — ponad miarę; cechy charakterystyczne: nawyki stare.

Klemens Mięczak pracuje w Państwowym Instytucie Płci Obojga w charakterze mieszańca. Mieszańca, bo przyznaje jednej i drugiej płci rację.

Mieczak w pas, Mieczak w lansdach, przytakuje i „niech żyje”. Mieczak klaszcze, językiem mlaszcze, „tak jest, panie dyrektorze”, „słucham, panią kierowniczkę”. Mieczak wicjuje, i maszeruje, i pył z drogi, i „część towarzyszu” i „Trzymaj się, Wiesiu”, i VIII Plenum i „Nowe Drogi” i „prez z chuliganami” i „naród

z nami” i... sporo jeszcze tych „i” by się znalazło.

Na przykład jedno z tych „i”. Klemens Mięczak mówi skupiony w sobie: najlepiej odczekać co będzie dalej. Więc w domu z żoną urządził chytro, by zająć pozycję ostrożną, oczywiście brawo, oczywiście niech żyje, oczywiście przemiany, ale...

Ale za szafą tkwi ukryty portret Stalina.

Na wszelki wypadek. Taki on już jest ten Klemens Mięczak.



— Podobam ci się?
— Tak, na pół.
— A która połowa bardziej??

Rys.: Jean Effel

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Blisko setka listów, które napłynęły do redakcji z rozwiązaniami pierwszej zamieszczonej przez nas krzyżówki („Nowy Świat” nr 44 z dnia 11. 11. br.) świadczy istotnie o dużym zainteresowaniu naszych czytelników tego rodzaju rozrywką. W jednym z wylosowanych listów, znaleźliśmy kilka uwag na ten temat napisanych przez p. Ignacego Jambowskiego z Poznania.

„Z wielką radością — pisze on — witam restytuowanie działu rozrywek umysłowych w Waszym poczytnym dodatku tygodniowym „Nowy Świat”. Chętnie zgłaszam współpracę, chociaż zaliczam się do starej generacji. W przeszłości, jeszcze w okresie międzywojennym, byłem wytrwałym czytelnikiem „Rozrywek”, wydawanych przez Klub Szaradzystów „Enigma”. Muszę stwierdzić, że rozwiązywa-

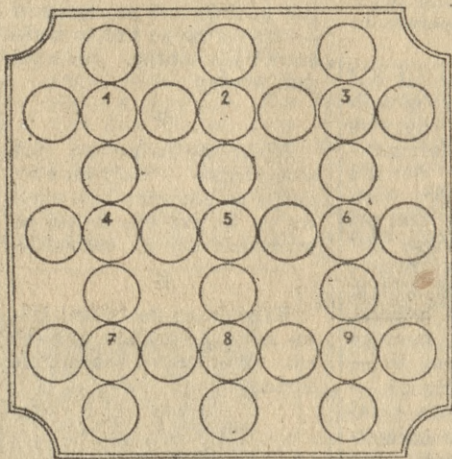
nie zadań — prócz godnej rozrywki — utrwalano wiedzę, która w moim zawodzie linotypisty w Drukarni Naukowej była mi bardzo pomocna”.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1) inż. Józef Kmieć, Oborniki Wlkp., ul. Kopernika 35; 2) Halina Daszyńska, Poznań, ul. Poznańska 41; 3) Helena Wydrwa, Poznań, ul. Kanakowa 13; 4) Lub. Holderna, Poznań, ul. Jagosławiańska 16; 5) Ignacy Jambowski, Poznań, ul. Kochanowskiego 5.

Nagrody prosimy odebrać w redakcji „Głosu Wielkopolskiego” (ul. Grunwaldzka 19), pokój 58, w czwartki, piątki i soboty w godz. od 12-18. Zamiejscowym wyślemy pocztą.

Dzisiaj prosimy o rozwiązanie następujących zadań:

Wirówka



Do podanej figury wpisać wirówkę, zgodną z ruchem wskazówek zegara 9 wyrazów pięcioliterowych.

Początek poszczególnych wyrazów w środkowych polach, oznaczonych cyframi. Litery w tych polach, czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:
1 — ptak nielotka;
2 — wstępnik, nienawistny;
3 — pierwiastek chemiczny; 4 — zagłowiec turystyczny (z ang.); 5 — ryszotok;
6 — in. nie zajęte; 7 — zamaz; 8 — natarcie, napady; 9 — substancja, występująca w herbacie.

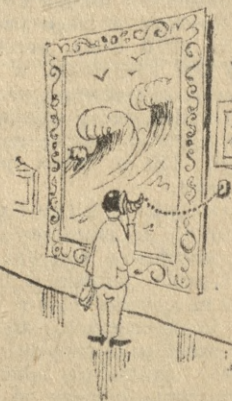
ANAGRAM

... to strona lub mapa,
... modny wzór odzieży,
... jest brylantów waga,
... to choroba, nieżył.

Treść wierszyka uzupełnić czterema pięcioliterowymi wyrazami, składającymi się z takich samych liter, odpowiednio przedstawionych. Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 1 XII 1956 r. (decyduje data stempla pocztowego) z uwagą „Rozrywki umysłowe”.

Rozwiązanie Krzyżówki z dnia 11 XI br.

Poziomo: 1 — Amor, 5 — karat, 9 — kanapa, 11 — ura, 12 — ataman, 13 — dym, 14 — anatema, 15 — tusz, 19 — kara, 20 — stan, 22 — rana, 24 — stanica, 26 — kat, 27 — tabela, 30 — owo, 31 — krater, 32 — karta, 33 — nawa.
Pionowo: 1 — akant, 2 — mat, 3 — ona, 4 — ramazan, 5 — kanak, 6 — rudera, 7 — Aryman, 8 — tama, 10 — Pan, 15 — taraban, 17 — ustawa, 18 — stator, 21 — nitka, 23 — arara, 24 — skok, 25 — car, 28 — eta, 29 — lew.



Bez słów

Powieściopisarz francuski Flaubert złożył w urzędzie skarbowym pismo, w którym zapisał nawet do chodzący z gry na giełdzie. W następnym roku, gdy już nie grał na giełdzie, otrzymał z urzędu skarbowego list, w którym oznajmiono: „W formularzu brakuje nam dochodów z giełdy”. — Mnie również! — odpowiedział na to zwycięzca Flaubert.

KONRAD DOBERSCHÜTZ przedziwne zegary

W pewnym miasteczku, gdzieś na rubieżu, Wisiał przedziwny zegar na wieży. Wskazówki jego — ach dziwna rzecz! Miał chodząc naprzód — chodzący wstecz. Burmistrz miasteczka — dziwne dziadziśko, Codziennie dźwigał dziwne kluczyśko. Tym kluczem dźwiał ów w wieży samotnie Miał krecić w prawo — krecił odwrotnie.

Stąd do burmistrza lud wciąż czuł anse, Bo się mylił im te kwadransy. Tłumy zaległy rynek, ulice, Istny bałagan powstał w fabryce, Jedni za wcześniej z łóżek wstawali, Inni w najlepsze znów zasypiali, Tamci do pracy biegli przez miasto, Lecz miast na siódma — szli na dwunastą, Inni znów kleli, bo mieli pecha, Godzinę temu pociąg odjechał...

Takie to figle ludziom płałają Dziwne wskazówki co czas cofały. Lecz, że się ludzie dziadziśka bali Każdy choć szemrał — to głośno chwalił, Każdy już wołał ten system wsteczny Choć cicho twierdził, że niedorzeczny. A więc choć lud wciąż chodząc jak struty, Wołał przeliczać sobie minuty, Wołał się ucieszyć do swojej głowy, Bo wierzył w system — lecz prawidłowy.

Ale po roku, po roku wreszcie System się wsteczny przyjął w tym mieście. Ludzie przywykli już do wskazówek, Którym się cofać kazali półgłówków. Już literaci ostrzyli pióra: Zdobył, epoka, przełomu era, Ach nowy system to wprost kultura A lud choć miledzał, myślał: cholera...

Znów minął roczek i oczywiste Każdy zapomnieli już stary system, Nikt już nie wątpił — daję Wam słowo, Ze iść do tyłu, to prawidłowo. Nikt już nie wierzył, ach do cholery, Ze 2+2 = 4.

Pewnego ranka w łeb wzięło wszystko, Kiedy umarło straszne dziadziśko Krzyknął wnet nowy burmistrz do miasta: — Zegar się w prawo kreci i basta! Zgodnie więc wyszedł tłum na ulice, Ruszyła rażno praca w fabryce, Wszyscy spokojnie w noc zasypiali, Ludzie się z łóżek już nie zrywali, Nikt nie przeklinał, nikt nie miał pecha, Bo punktualnie pociąg odjechał Odtąd w tym mieście — daję Wam słowo, Życie toczyło się prawidłowo.

Odtąd wierzone nie bez kozery, Ze 2 + 2 = 4.

W numerze:

...parę interesujących rzeczy

Vade mecum

Fragmenty

PULA — dawniej określona ilość towaru. Dziś: miasto, nadające się do wygłaszania ważnych przemówień.

WAZA — nazwisko jednego z królów, również symbol zwycięskiej bitwy o zbory gołuchowskie.

WĘGIEL — rodzaj towaru eksportowego, za który trzeba płacić.

KADARKA — gatunek wina węgierskiego.

FERMETY SAMODZIELNY ORGAN MIKA

Nr 4.

JERZY OFIERSKI

Do Redaktora Naczelnego pisma „Fermety”

Z prawdziwą radością roku! oraz „Jakie miało powitała poznanska sto takie „Fermety”? Z kolonia, w Warszawie prawdziwym oburzeniem ukazanie się Waszego poczytnego pisma. Na fakt spekulowania na licznym wiecach i masówkach poznaniacy, zamieszkałi chwilowo w Warszawie, dali wyraz łączności z linią ideologiczną „Fermetów”, co wyrażało się w szczególności okrzykami: „Fermety” przyszłością na-

● Konieczne jest wprowadzenie do „Fermetów” starego sposobu uatrakcyjnienia pisma za pomocą druku powieści w odcinkach. Wydaje mi się, że dobra będzie obecnie powieść, która zainteresuje masowego odbiorcę, np. „Soso”. Jej walory artystyczne i ideologiczne podniosą niewątpliwie rangę „Fermetów”.

● Oprawa graficzna Derwicha na ogół nie budzi zastrzeżeń. Wykonywana jest w dobrym stylu realizmu socjalistycznego, który jest widocznym znakiem rewolucji kulturalnej w naszym społeczeństwie, zrywającym pęta schematu formalistycznych naleciałości w sztuce.

● Ze swej strony apeluję również o założenie w „Fermetach” kącika satyry i humoru.

Z poważaniem

J. Ofierski

Na prawach wolnej trybuny

ENFANT TERRIBLE



Jakże to uparty chłopiec Jakże to kaprysy ma! Choć go naród w tylek kople

on na posterunku trwa...

Włodz. SCISŁOWSKI

SŁUSZNA INICJATYWA

Zrzeczenie się przez niektóre instancje zajmowanych dotychczas budynków zmusza władze miejskie do rozsądnego goispolożnego rozdzielenia uzyskanej powierzchni ni mieszkaniowej. Dorzucając i nasz głos doradczymy w tej sprawie, proponujemy dokonanie szeregu translokacji w mieście. Uważamy, że translokacje winny być dokonane między instytucjami, zbliżonymi do siebie charakterem czy zainteresowaniami.

Dla przykładu podajemy poniżej nazwy instytucji, które mogłyby zamienić się lokalami, bądź pracować razem w jednym pomieszczeniu.

1. Wydział Finansowy PMRN i Oddział Obrabiarek HCP.
2. Opera im. St. Moniuszki i Muzeum Archeologiczne.
3. Centrala Obrotu Surowcami Użytkowymi i Wydział Kultury PMRN.
4. Związek Literatów Polskich i Pawilon Przemysłu Ciężkiego MTP.
5. Redakcja tygodnika „Wyboje” i Klinika Pediatryczna A. M.
6. Klub Pracowników Kultury przy ul. Kanakowa i Miejski Zakład Gazołnictwa.



Do teatru lub na koncert radzimy naszym Czytelnikom założyć taką, jak na modelu „Hermes” sukienkę pół-wieczorową. Czarne to drukowane w białe groszki, haftowane w stokrotki w kolorze fioletowym i zielonym. Lekkie przetykane niteczki srebrne imitują łańcuszki. Krój sukienki bardzo skromny. Trzydziestociosek rekawy, szalowy kołnierz i odstające, drapowane kieszenie — to model bardzo wytwórny.